



ALICE
MUNRO

PRZYJACIÓŁKA
Z MŁODOŚCI





ALICE
MUNRO

PRZYJACIÓŁKA
Z MŁODOŚCI

PRZEŁOŻYŁA
AGNIESZKA KUC

WYDAWNICTWO LITERACKIE



Tytuł oryginału
Friend of My Youth

Copyright © 1990 by Alice Munro
All rights reserved
© Copyright for the Polish translation
by Agnieszka Kuc, 2013
© Copyright for this edition
by Wydawnictwo Literackie, 2013

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05216-7

Gdy nadeszła wiosna, u Grievesów pojawiła się pielęgniarka (wtedy tak radzono sobie w przypadku przedłużającej się choroby). Ludzie umierali w domu, a ona miała nad wszystkim czuwać i nieść pomoc.

Pielęgniarka nazywała się Audrey Atkinson i była dość korpulentna. Nosiła gorsety tak sztywne jak ob ręce na beczce, miała ondulowane włosy koloru moseźnych lichtarzy i wąskie usta obwiedzione kredką poza kontur warg, by wydawały się pełniejsze. Wjeżdżała na podwórze samochodem — swoim własnym, ciemnozielonym coupé — lśniącym i eleganckim. Wieści o pojawieniu się Audrey Atkinson i jej aucie rozprzestrzeniły się niezwykle szybko. Zaczęto stawiać pytania. Skąd wzięła na to pieniądze? Czyżby jakiś bogaty głupiec zapisał jej coś w testamencie? Czy manipulowała ludźmi, którymi się zajmowała? A może pożyczyla sobie coś ze zwitka banknotów, które znalazła pod cudzym materacem? Jak komuś takiemu zaufać?

Samochód pielęgniarki był pierwszym, jaki kiedykolwiek parkował nocą na podwórku Grievesów.

Audrey Atkinson oznajmiła, że jeszcze nigdy nie została poproszona o sprawowanie opieki nad pacjentem w tak prymitywnie urządzonej domu. Mówiła, że nie potrafi pojąć, jak można mieszkać w takich warunkach.

— Problemem nie jest tu bieda — tłumaczyła mojej matce. — Mam rację? Ubóstwo mogłabym jeszcze zrozumieć. I nie jest to tylko kwestia religii. A więc w czym rzecz? Otóż im po prostu nie zależy!

Początkowo próbowała zdobyć przychylność mojej matki, uznając najwidoczniej, że w tym konserwatywnym i nieoświeconym domu są naturalnymi sprzymierzeńcami. Przyjęła taki styl rozmowy, jakby zakładała, że są równoletkami — dwie eleganckie inteligentne kobiety, które lubią się zabawić i mają nowoczesne poglądy. Zaproponowała matce, że nauczy ją prowadzić samochód. Częstoowała ją też papierosami. Matkę bardziej nęciła perspektywa nauki jazdy niż szkodliwy nawyk. Odmówiła jednak, stwierdzając, że prowadzenia auta nauczy ją mąż. Audrey Atkinson uniosła znacząco swoje różowopomarańczowe brwi za plecami Flory, okazując w ten sposób, co myśli o jej decyzji, czym bardzo zdenerwowała matkę. Nie lubiła tej wyniosłej pielęgniarzki o wiele bardziej niż Flora.

„Ja się na niej poznałam, a Flora nie”, mówiła matka. Była przekonana, że Audrey znalazła sposób na urządzenie się w życiu. Możliwe, że obracała się w różnym, niestroniącym od alkoholu i mocno podejrzanym towarzystwie, prowadzącym nieuczciwe

interesy — czego łatwowierna i nieobyta w świecie Flora nie potrafiła zauważyć.

Flora znów przystąpiła do robienia gruntownych porządków. Rozwieszała zasłony, trzepała dywany i skakała po drabinie, usuwając spod sufitu nagromadzony tam kurz. W sprzątaniu wciąż jednak przeszkadzała jej pielęgniarka, która bez przerwy na coś narzekała.

— Zastanawiam się, czy to ciągle bieganie i wszechobecny hałas są rzeczywiście konieczne? — pytała Audrey tonem grzecznym, lecz trochę urażonym. — Chodzi mi wyłącznie o dobro mojej pacjentki.

Zawsze mówiła o Ellie w ten sposób: „moja pacjentka” i starała się stworzyć wrażenie, że jest jedyną osobą w całym domu, która próbuje ją chronić i domaga się, by chorą traktowano z należnym respektem. Sama jednak wcale nie odnosiła się do Ellie z szacunkiem.

— No dalej, siup i wstajemy — powtarzała, ciągnąc nieszczęsną schorowaną kobietę za ramiona, by ta się dźwignęła i oparła o poduszki. Powiedziała też Ellie, że nie zamierza tolerować jej utyskiwań i marudzenia. — To niczemu nie służy — oznajmiła. — Ani nie sprawi, że podejść prędeej. Dobrze byłoby, żebyś się nauczyła nad sobą panować.

Gdy zobaczyła odleżyny Ellie, krzyknęła przeraźliwie i z przyganą, jakby to był dla rodziny kolejny powód do wstydu. Natarczywie domagała się rozmaitych balsamów, maści i drogich mydeł — bez

wątpienia głównie po to, by móc dbać o własną skórę, bo, jak twierdziła, szkodziła jej tutejsza twarda woda. (Jak mogła być twarda, skoro pochodziła prosto z beczki na deszczówkę?)

Siostra Atkinson zażądała także śmietany — powiedziała, że nie powinni sprzedawać wszystkiego do mleczarni, lecz przynajmniej część zostawiać dla siebie. Planowała gotować pożywne zupy i puddingi dla swojej pacjentki. Faktycznie przygotowywała puddingi i galaretki, tyle że z proszku, z torebek kupowanych w sklepie, jakich nigdy wcześniej nie widywano w tym domu. Matka była przekonana, że pielęgniarka i tak sama to wszystko później zjadała.

Flora nadal czytała Ellie, ale już tylko krótkie fragmenty z Biblii. Gdy kończyła i zamierzała odejść, Ellie kurczowo zaciskała dłoń na jej ręce, pragnąc ją zatrzymać. Płakała i czasami żaliła się całkiem nedorzecznie. Mówiła, że za oknem widziała rogatą krowę, która próbowała wdrzeć się do pokoju i ją zabić.

— Pacjenci często wymyślają różne rzeczy — tłumaczyła siostra Atkinson. — Nie wolno jej ustępować, bo inaczej nie pozwoli odejść od swojego łóżka ani na chwilę, czy to w dzień, czy w nocy. Chorzy tacy właśnie są, myślą tylko o sobie. Kiedy jesteśmy same, zachowuje się całkiem przyzwoicie. Nie mam z nią żadnych kłopotów. Ale gdy tylko pani jest w pobliżu, zaczynają się problemy, bo gdy panią widzi, od razu się denerwuje i zaczyna marudzić. Chyba nie chce mi pani utrudniać pracy? Bo przecież spro-

wadziła mnie pani tutaj, żebym się nią zajmowała, mam rację?

— Ellie, już dobrze, kochanie. Naprawdę muszę iść — uspokajała siostrę Flora, a do pielęgniarki powiedziała: — Rozumiem, naprawdę rozumiem, że czuje się pani odpowiedzialna za Ellie, bo przecież powierzono ją pani opiece. Jestem pełna podziwu dla pani poczynań, proszę mi wierzyć. Pani praca wymaga ogromnych pokładów cierpliwości i dobroci.

Moją matkę zdumiały te słowa — czy Flora naprawdę była aż tak ślepa, czy też miała nadzieję, że chwając pielęgniarkę całkiem niezastudzenie, skłoni ją do zmiany postępowania i sprawi, że ta zacznie troskliwiej i z większym oddaniem zajmować się jej siostrą? Ale Audrey Atkinson była osobą zbyt mało wrażliwą i zanadto zapatrzoną w siebie, by takie zawołane aluzje przyniosły pozytywny skutek.

— To ciężka praca, zgadzam się, i niewiele osób potrafi ją dobrze wykonywać — oświadczyła. — Pielęgniarki w szpitalu mają znacznie łatwiej, bo wszystko, co potrzebne, jest pod ręką. — Nie miała czasu na dalszą rozmowę, ponieważ w swoim radyjku na baterie próbowała znaleźć popularny muzyczno-rozrywkowy program *Make Believe Ballroom*.

Matkę pochłaniały egzaminy i przygotowania do czerwcowych uroczystości na zakończenie roku szkolnego. Szykowała się również do ślubu zaplanowanego na lipiec. Przyjaciółki przyjeżdżały po nią samochodami i woziły do krawcowej, na przyjęcia, pomagały napisać zaproszenia i zamówić tort.

Bzy przybrały barwę fioletową, wieczory stały się dłuższe, ptaki wróciły i zaczęły wic gniazda, a moja matka rozkwitła pod wpływem okazywanego jej zainteresowania. Już niedługo miała rozpocząć cudownie podniosłą małżeńską przygodę. Chciała, by jej suknię zdobiła aplikacja z jedwabnych róż, a welon doczepiony był do toczka wyszywanego perełkami. Należała do pierwszego pokolenia młodych kobiet, które miały oszczędności i same płaciły za swoje wesele — o wiele bardziej wystawne niż to, na które stać było ich rodziców.

Ostatniego dnia pobytu mojej matki u Grievesów wieczorem wpadła przyjaciółka z poczty, by zabrać ją samochodem do domu razem z całym dobytkiem: ubraniami, książkami, posagiem, a także prezentami ofiarowanymi przez uczniów i inne zaprzyjaźnione osoby. Było dużo zamieszania i śmiechu podczas ładowania tego wszystkiego do małego auta. Przyszła również Flora i zaczęła im pomagać.

— Nie przypuszczałam, że wychodzenie za mąż może być takie uciążliwe — skwitowała ze śmiechem.

Podarowała mamie szydełkowy bieźnik na stół, który w tajemnicy dla niej zrobiła. Siostra Atkinson nie dała się wykluczyć z uczestnictwa w tak ważnym wydarzeniu — sprezentowała matce butelkę wody kolońskiej z rozpylaczem. Flora energicznie machała im na pożegnanie. Została zaproszona na wesele, ale jak można się było tego spodziewać, oznajmiła, że nie przyjdzie ze względu na okoliczności. Po raz ostatni matka widziała ją właśnie wtedy, w świetle

wieczoru — samotną postać w roboczym fartuchu i chustce na głowie, stojącą na zielonym zboczu na tle czarnych ścian domu, z podniesioną ręką.

— No cóż, może teraz dostanie wreszcie to, co od dawna jej się należało — powiedziała przyjaciółka z poczty. — Będą mogli się w końcu pobrać. Czy ona nie jest już czasem za stara, żeby założyć rodzinę? A tak na marginesie, to ile właściwie ma lat?

Matka uznała, iż nie wypada w ten sposób mówić o Florze, i odparła, że nie ma pojęcia. W duchu jednak zadała sobie dokładnie to samo pytanie.

*

Gdy matka wyszła za mąż i przeniosła się trzysta mil od Grievesów, by zamieszkać we własnym domu, otrzymała od Flory list. Ellie nie żyła. „Umarła utwierdzona w wierze i wdzięczna, że może już odejść”, pisała przyjaciółka. Siostra Atkinson planowała pomieszkiwać u nich jeszcze przez jakiś czas, do momentu przejęcia opieki nad kolejnym pacjentem. Miało to nastąpić pod koniec lata.

Pierwsze wieści o tym, co wydarzyło się później, nie pochodziły od Flory. Pisząc na Boże Narodzenie, wyraźnie zakładała, że informacje zdążyły się już roznieść.

„Z całą pewnością słyszałaś — pisała Flora — że Robert i siostra Atkinson wzięli ślub. Nadal tutaj mieszkają, w części domu zajmowanej przez Roberta. Remontują ją teraz na swoje potrzeby i zaprowadzają nowy ład. Postępuję niegrzecznie, nazywając ją nadal siostrą Atkinson. Powinnam pisać o niej «Audrey»”.

O wszystkim powiadomiła matkę wcześniej przyjaciółka z poczty, ale także inne osoby. Zrobił się wielki skandal i ludzie byli zszokowani tym, co zaszło. Cała okolica się ekscytowała — ślub równie niespodziewany i zawarty tak samo potajemnie jak pierwszy (choć z pewnością nie z tego samego powodu). Siostra Atkinson na stałe wrosła w miejscową społeczność, a Flora przegrała drugi raz z rzędu. Nikt nie zauważył, by zaślubiny poprzedzały jakieś starania i zaloty, i wszyscy się zastanawiali, czym ta kobieta zdołała skusić Roberta. Czy obiecała, że urodzi mu dzieci, kłamiąc w oczywisty sposób na temat swojego wieku?

Niespodzianek było zresztą więcej. Panna młoda natychmiast przystąpiła do remontu i „zaprowadzania nowych porządków”, jak to ujęła Flora. Zainstalowano elektryczność, a potem telefon. Był to telefon towarzyski, użytkowany do spółki z innym abonentem. Słyszano teraz, jak siostra Atkinson — bo w świadomości ogółu na zawsze pozostała siostrą Atkinson — ciągle wymyśla malarzom, tapeciarszom i dostawcom. Wszystko kazała poprawiać i robić od nowa. Kupiła kuchenkę elektryczną, urządzała łazienkę i Bóg jeden wie, skąd na to brała środki. Czy miała odłożone pieniądze, które zdobyła, sprawując opiekę nad śmiertelnie chorymi pacjentami? Czy pochodziły z jakichś podejrzanych zapisów robionych na jej rzecz na łożu śmierci? A może szły na to oszczędności Roberta? Niewykluczone, że zażądał swojej części spadku. Spadku po Ellie, który przy-

padł w udziale jemu i siostrze Atkinson, by mogli z niego korzystać i cieszyć się życiem, bezwstydnicy.

Wszelkie innowacje i udoskonalenia były wprowadzane tylko w jednej części domu. Tam gdzie mieszkała Flora, nic się nie zmieniło. Brak elektryczności, stare tapety i żaluzje. Kiedy budynek pomalowano z zewnątrz — na kremowo, z ciemnozielonymi elementami wykończeniowymi — stronę należącą do Flory pozostawiono w stanie surowym. Zaznaczenie w tak jawny i budzący zdziwienie sposób własnej odrębności początkowo przyjęto ze smutkiem i dezaprobatą, potem jednak przyglądano się Florze już z mniejszym współczuciem i zaczęto uważać to, co się stało, raczej za przejaw jej uporu i ekscentryczności (przecież mogła kupić sobie farbę i pomalować swoją część, by dom wyglądał przyzwoicie), a w końcu za powód do żartów i kpin. Ludzie przechodzili tamtędy specjalnie, by zobaczyć to dziwo.

Utarło się, że w szkole organizowano zabawę dla nowożeńców. Przekazywano im wtedy zebrane pieniądze, tak zwaną sakiewkę ślubną. Siostra Atkinson nie omieszkła dać wszystkim do zrozumienia, że nie miałaby nic przeciwko podtrzymaniu tej tradycji, mimo że w rodzinie, do której weszła przez małżeństwo, tańce były zakazane. Niektórzy uważali, że dawanie jej tego rodzaju gratyfikacji byłoby grubym nietaktem, policzkiem wymierzonym Florze. Inni byli jednak całą sprawą zbyt zaintrygowani, by zrezygnować z pójścia na zabawę. Chcieli zobaczyć, jak nowożeńcy się zachowają. Czy Robert będzie

tańczył? W jakim stroju wystąpi panna młoda? Trochę zwlekali, ale w końcu jednak zabawa się odbyła i mojej matce zdano ze wszystkiego relację.

Panna młoda miała na sobie tę samą sukienkę, w której brała ślub, a przynajmniej tak twierdziła. Ale kto założyłby taką suknię na ślub, który odbywał się na plebanii prezbiteriańskiego kościoła? Było o wiele bardziej prawdopodobne, że kupiła ją specjalnie na zabawę. Kreacja była ze śnieżnobiałej satyny, z głębokim dekoltem w kształcie serca i odsłoniętymi ramionami; budziła mieszane uczucia, bo bardziej odpowiednia byłaby dla młodej dziewczyny. Pan młody założył nowy granatowy garnitur, z kwiatem wsuniętym przez wybranek do butonierki. Para skupiała na sobie wzrok. Panna młoda miała świeżo zrobioną fryzurę rozjaśnioną bardzo jaskrawymi złotymi pasemkami, a gdyby oparła głowę na ramieniu swojego tancerza, można by żywić obawy, czy przesadnie umalowana twarz nie zostawi śladów na jego marynarce. Siostra Atkinson oczywiście tańczyła. Tańczyła z każdym mężczyzną obecnym na zabawie z wyjątkiem nowożeńca, który siedział skulony pod ścianą w jednej ze szkolnych ławek. (Wszyscy panowie twierdzili, że muszą z nią zatańczyć, bo tak każe zwyczaj). A potem wyciągnęła z kąta Roberta, by zebrał od gości pieniądze i podziękował za życzenia. W szatni napomknęła paru kobietom o swoim złym samopoczuciu, przypadłości wcale nie rzadkiej u świeżo poślubionych panien młodych. Nikt w to nie uwierzył i rzeczywiście jej nadzieje spełzły na

niczym, jeśli w ogóle jakieś naprawdę żywiła. Niektóre kobiety uważały, że celowo wprowadziła je w błąd, z czystej złośliwości, bo chciała uzmysłowić im, jakie są naiwne. Ale mimo to nikt nie próbował otwarcie się jej przeciwstawić i nie był dla niej nieuprzejmy — wszyscy chyba wiedzieli, że gdy siostra Atkinson wytoczy swoje armaty, to zmiecie każdego, kto ośmieli się stanąć jej na drodze.

Flora nie pojawiła się na zabawie.

„Moja szwagierka nie tańczy — oświadczyła panna młoda. — Ona wciąż jeszcze tkwi w dawnych czasach”. Powiedziała to w taki sposób, jakby chciała sprowokować ludzi do śmiechu. Florę zawsze nazywała swoją szwagierką, chociaż wcale nie miała do tego prawa.

Gdy moja matka o tym wszystkim usłyszała, postanowiła napisać do Flory. Ale ponieważ się przeprowadziła i nie była bezpośrednio zaangażowana w sprawy przyjaciółki albo dlatego, że jako kobieta zamężna uznała, iż ma prawo przemawiać z pozycji autorytetu, mogła stracić rozeznanie, kim naprawdę jest Flora. Wyraziła współczucie i dała upust swojemu oburzeniu, a także wypowiedziała się w sposób lekceważący i pogardliwy o siostrze Atkinson, która — w jej przekonaniu — wyrządziła Florze wielką krzywdę. Przyjaciółka odpisała, że nie wie, skąd moja matka czerpie te informacje, ale jej zdaniem coś źle zrozumiała, dała posłuch złośliwym podszeptom lub wyciągnęła fałszywe i bezpodstawne wnioski. To, co się dzieje u niej w rodzinie, nie powinno ni-

kogo interesować, a już na pewno nie ma potrzeby się nad nią użalać ani z jej powodu unosić gniewem. Wyjaśniła, że zawsze czuła się szczęśliwa i zadowolona ze swojego życia, a teraz nic się pod tym względem nie zmieniło. Ona sama nie wtrąca się do spraw innych, bo nie interesuje się ich dążeniami ani tym, co robią. Życzyła mojej mamie szczęścia w małżeństwie i wyraziła nadzieję, że wkrótce obowiązki tak bardzo wypełnią jej czas, iż nie będzie miała kiedy zamartwiać się kłopotami swoich dawnych znajomych.

Ten zgrabnie napisany list zranił matkę do żywego, jak sama powiedziała. Ona i Flora przestały ze sobą korespondować. Matka rzeczywiście wpadła w wir obowiązków i wkrótce życie stało się dla niej więzieniem.

Wciąż jednak rozmyślała o Florze. W późniejszych latach, kiedy czasami snuła refleksje, kim mogła zostać i czego dokonać, zwykła mawiać: „Gdybym była pisarką — a myślę, że miałam predyspozycje, by nią zostać — opisałabym historię życia Flory. I wiecie, jak bym ją zatytułowała? «Panna i dama»”.

„Panna i dama” — matka oznajmiła to uroczystym i pełnym rozrzewnienia tonem, którego nie znosiłam. Wiedziałam albo sądziłam, że wiem, co oznaczał w jej przekonaniu ten tytuł — kryły się w nim godność i tajemnica. Głęboki szacunek i uznanie dla bohaterki z lekką tylko żartobliwą nutą. Ja miałam wtedy piętnaście, może szesnaście lat i byłam przeświadczona, że potrafię przeniknąć myśli mat-

ki. Wydawało mi się, że wiem, jak postrzega Floreę i w jaki sposób chciałyby przedstawić ją w opowiadaniu. Z pewnością jako postać na wskroś szlachetną, taką, która z pokorą przyjmuje czyjąś dezercję, zdradę, wybacza i staje z boku, w dodatku nie raz, lecz dwa razy. I ani słowa skargi. Flora z radością wypełnia swoje obowiązki, porządkuje dom, sprząta oborę, usuwa nieczystości z łóżka chorej siostry. A kiedy już wydaje się, że na horyzoncie pojawia się lepsza przyszłość — bo gdy Ellie umrze, Robert z pewnością poprosi ją o wybaczenie, a wówczas ona uśmierzy jego niepokoje, ofiarowując mu królewski dar, samą siebie — wtedy właśnie na ich podwórko zajeżdża siostra Atkinson i znów komplikuje Florze życie, w jeszcze bardziej dotkliwy i niepojęty sposób, niż do tego doszło za pierwszym razem. Flora musi z pokorą znosić malowanie ścian, instalowanie elektryczności i wszelkie inne zmiany świadczące o dobrobycie i zamożności, które zachodzą w drugiej części domu. Radio i same rozrywkowe audycje: *Make Believe Ballroom* i *Amos i Andy**. Koniec ze szkockimi fanaberiami i przestarzałymi naukami. Flora z pewnością obserwuje, jak oboje odjeżdżają samochodem na zabawę — dawny ukochany i ta bezduszna, głupia i bynajmniej nie urodziwa kobieta w białej satynowej sukni ślubnej. Plany Flory obracają się wniwecz, a ona sama wystawiona jest na pośmiewisko. (Farmę przepisała na Ellie i Rober-

* Pierwsza radiowa opera mydlana z 1929 roku.

ta, no i oczywiście to Robert ją odziedziczył, a teraz wszystko należy do Audrey Atkinson). Niegodziwi triumfują. Ale tak ma być. Tak jest dobrze — albowiem wybranych spowija welon cierpliwości i pokory, towarzyszy im pewność, że postępują słusznie, której nic nie może podważyć.

W moim przekonaniu tak właśnie przedstawiłaby tę historię matka. Jej własna niedola sprawiła, że popadła w mistycyzm, a w głosie pojawiał się czasami cichy, uroczysty, z lekka podekscytowany ton, który mnie drażnił i wprawiał w stan pobudzenia, jakby coś mi zagrażało. Oplątywała mnie sieć jej komunatów i fałszywej pobożności. Moja dotknięta chorobą matka w sposób oczywisty mnie zagarniała, miałam wrażenie, że się dławię. I nie było temu końca. Dlatego musiałam być ostra i cyniczna, wciąż wysuwać nowe argumenty i obalać inne. W końcu zrezygnowałam nawet z takiego głośnego wyrażania swojego sprzeciwu i stawiałam jej opór w milczeniu.

A mówiąc bardziej wprost, matka nie znajdowała we mnie oparcia i pociechy w czasie, gdy nie miała przecież prawie nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić.

Ja interpretowałam historię Flory na swój własny sposób. Nie myślałam o niej w kategoriach niezrealizowanych projektów pisarskich, tak jak robiła to matka. Po prostu uznałam, że mogłabym taką powieść napisać, przyjmując jednak inny punkt widzenia. Ze słów matki wyczytałam różne rzeczy, które ona pominęła lub ich nie dostrzegła. Moja Flo-

ra byłaby postacią o wiele bardziej mroczną, wcale nie tak świetlistą. Ze złych kolei losu, które ją spotykały, czerpałaby swoistą radość, bo dzięki temu mogła uchodzić za osobę wielkoduszną i jednocześnie pilnie śledzić rozpad, jaki dokonywał się w życiu jej siostry. Istna prezbiteriańska czarownica odczytująca tajemne prawdy ze swoich niebezpiecznych ksiąg. Przeciwstawić się jej mógł jedynie ktoś taki jak siostra Atkinson, gruboskórna pielęgniarzka, której bezkompromisowość i okrucieństwo, w podobny sposób ukryte pod płaszczkiem niewinności, miały porównywalną moc oddziaływania. I stało się — Flora ugięła się przed siostrą Atkinson. Potęgę seksu i zwykła chciwość zamknęły ją na powrót w odrębnej części domu oświetlanej lampami naftowymi. Jej możliwości się kurczą, częściej musi ustępować, usuwać się w cień. Również jej ciało staje się coraz bardziej zawodne, kości i stawy odmawiają posłuszeństwa — no tak, wiem już, jak widowiskowy mógłby być finał tej historii! — otóż Flora w końcu sama zostaje kaleką, zapada na artretyzm i porusza się z ogromnym trudem. A wtedy siostra Audrey Atkinson zyskuje pełnię władzy — żąda dla siebie całego domu. Chce, aby zlikwidowano ścianki działowe, które Robert postawił z pomocą Flory, gdy się ożenił z Ellie. Siostra Atkinson ofiarowuje Florze jeden pokój i obiecuje się o nią troszczyć (nie chce być źle postrzegana i może naprawdę nie jest taka wredna). Któregoś dnia Robert niesie Florę do pokoju, który przygotowała dla niej jego nowa żona. Po raz pierw-

szy i ostatni trzyma wtedy dawną narzeczoną w ramionach. A kiedy Flora jest już przekwaterowana do porządnie ogrzanego i dobrze oświetlonego pomieszczenia, Audrey Atkinson przystępuje do wielkiego sprzątanía dopiero co opuszczonej części domu, która wcześniej należała do Flory. Wynosi na podwórze stertę starych ksiąg. Przyszła kolejna wiosna, czas gruntownych porządków, które kiedyś robiła Flora. Mimo trudności schorowana kobieta znajduje siły, by się podnieść i zbliżyć do okna, jej pobladła twarz wygląda zza pachnącej nowością firanki. Widzi jasnobłękitne niebo i chmury płynące wysoko ponad podmokłymi łąkami. Zauważa walczące ze sobą wrony, wezbrane strumienie, czerwonawe gałęzie drzew. Potem dostrzega dym unoszący się z piecyka na podwórzu. To w nim płoną jej książki. Stare, trącające stęchlizną, jak o nich mówi Audrey. Pojedyncze słowa i całe stronicy, złowróźnie wyglądające ciemne grzbiety. Wybrani i potępieni, nikłe nadzieje i straszne męki — wszystko spowija dym. Taki spotyka je koniec.

Dla mnie najbardziej tajemniczą osobą w całej tej historii, przynajmniej w wersji przedstawionej przez matkę, był Robert. Małomówny i milczący. Zaręcza się z Florą. Spaceruje razem z nią wzdłuż rzeki, kiedy nagle z zarośli wyskakuje Ellie. Potem w łóżku Robert znajduje podłożone przez nią osty. Wznosi ścianki działowe i wykonuje wszelkie prace stolarskie, niezbędne po zawarciu ślubu z Ellie. Słucha lub nie głośnego czytania Flory. A w końcu

siedzi skulony w szkolnej ławce, gdy jego olśniewająca panna młoda tańczy z zaproszonymi na zabawę mężczyznami.

Tak to przynajmniej wyglądało z zewnątrz. Ale przecież to on był tym, który wszystko inicjował, skrycie. Właśnie on zrobił to Ellie, tej chudej, nie do końca zrównoważonej dziewczynie, gdy zaręczył się z jej siostrą, a potem powtarzał to z nią jeszcze wiele razy, gdy była już tylko słabym wycieńczonym ciałem, leżącym stale w łóżku, niezdolnym wydać na świat dziecko.


Bez wątpienia tak samo postąpił z Audrey Atkinson, tyle że jego działania były mniej tragiczne w skutkach.

Określenie „zrobił jej to”, którego ani moja matka, ani tym bardziej Flora nigdy nie odważyłyby się wypowiedzieć — w pewien sposób mnie ekscytowało. Nie napawało wstrętem, naruszając moje poczucie przyzwoitości, nie budziło też uzasadnionego oburzenia. Nie odbierałam tego, co się stało, jako ostrzeżenia. Los Ellie niespecjalnie mnie poruszył. Nawet to ich pierwsze spotkanie, z pewnością dramatyczne, pełne wzajemnego zmagania się i szamotaniny. W tamtym czasie zaczęłam ukradkiem wodzić tęsknym wzrokiem za mężczyznami. Wszystko mi się w nich podobało: nadgarstki, szyje, każdy, choćby najmniejszy fragment klatki piersiowej, pojawiający się w rozpiętej koszuli, nawet uszy i obute stopy. Nie oczekiwałam od nich niczego szczególnego, żadnych racjo-

nalnych działań, chciałam tylko, by namiętnie mnie kochali. O Robercie myślałam w podobny sposób.

W moim opowiadaniu Flora okazała się zła dokładnie z tego samego powodu, dla którego we wspomnieniach mojej matki była osobą godną szacunku i podziwu — ponieważ odrzuciła seks. Wszystko burzyło się we mnie przeciwko temu, co na ten temat chciała przekazać mi matka. Irytowało mnie nawet to, że ściszała głos, przybierała ponury ton, a sam temat drażyła niezwykle ostrożnie. Matka wychowała się w takim czasie, kiedy seks kojarzył się kobietom z czymś mrocznym, ryzykownym, i była przeświadczona, że można od tego nawet umrzeć. Dlatego ceniła sobie przyzwoitość, pruderię i dystans, bo stanowiły rodzaj zapory, zapewniały bezpieczeństwo i ochronę. Mnie samą takie prewencyjne działania mierzily i skłaniały do buntu. Były rodzajem zawołanej tyranii, która w moim przekonaniu obejmowała każdą sferę życia — wymuszała udział w proznych podwieczorkach, noszenie białych rękawiczek i mnóstwo innych, równie pretensjonalnych i zbytecznych rzeczy. Ja wolałam być mniej układna, lubiłam przeklinać i byłam typem buntownika. Pociągali mnie mężczyźni zuchwali i dominujący. Co ciekawe, poglądy, którym hołdowała moja matka, były uważane w tamtym okresie za postępowe i zgodne z duchem czasów, ja natomiast byłam wyrazicielką idei typowych dla mojego pokolenia. To dosyć dziwne, zważywszy na to, że obie z matką uważałyśmy siebie za osoby niezależne, niepoddające się łatwo obowiąz-

zującym modom, i na dodatek mieszkaliśmy na dalekiej prowincji, gdzie w powszechnym przekonaniu panowała stagnacja, a wszelkie zmiany traktowano z rezerwą. Tymczasem, z perspektywy lat, wygląda na to, że nowe pojęcia i wyobrażenia, które rzekomo samoistnie rodziły się w naszych głowach, nawet te najbardziej osobiste, wędrowały po świecie niczym zarodniki niesione przez wiatr, w poszukiwaniu dogodnych warunków, by móc osiąść i wykiełkować.



Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
na www.wydawnictwoliterackie.pl